OPIEKUN MŁODZIEŻY



Bezpłatny dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“

Nr. 47. **Wąbrzeźno, dnia 3 grudnia 1925.** **Rok II.**

Adam Mickiewicz

Wywiezienie młodzieży polskiej na Sybir przez Moskali.

...Dziś na Sybir... kibitek*) dwadzieścia wywieźli.
...Studentów ze Żmudzi...
Sam widziałem... Wracając, prosiłem kaprala
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala,
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była; ludu zebrało się wiele.
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami, stało we dwa rzędy,
W pośrodku nich kibitki... Patrzę, z placu sadzi
Policmajster na koniu; z miny zgadłbyś łatwo,
Triumf cara zwycięzcy prowadzi, — nad dziatwą!
Wkrótce znak dano bębnem, i ratusz otwarty.
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły warty.
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy — dziesięć lat, nieboże —
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może,
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.
Policmajster przejeżdża, pyta, czego żądał;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał.
Wywiedli Janczewskiego... poznałem: oszpetniał,
Sczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.
Ten przed rokiem swawolny; ładny chłopczyk
Dziś poglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Wtem zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślał, żem uwolniony: dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował; —
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem, ażebym się schował.
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie.
Uważałem na więźnia postawę i ruchy, —
On postrzegł, że lud płacze, patrząc na łańcuchy,
Wstrząsł nogą łańcuch na znak, że mu niezbyt ciężył.
A wtem zacięto konia: kibitka sunęła,
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!“
Głowa, z której włos przemoc odarła bezwstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszcza.
...Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki ich wsadzono jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu ściśnionego kupie,
Po wojsku: wszystkie twarze pobladły jak trupie:
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.
Wywiedli ostatniego; zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się słaniał,
Zwolna schodził ze schodów, i ledwie na drugi
Szczebel zstąpił, stoczył się i upadł jak długi.
To Wasilewski, siedział tu w naszem sąsiedztwie;
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,
Niósł — w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał: niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak stężał.
Niesiony, jak słup sterczał, i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte. —
I lud oczy i usta otworzył; i razem
Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte,
Głębokie i podziemne jęknęło dokoła,
Jak gdyby jękły wszystkie groby z pod kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębnem i rozkazem:
„Do broni, marsz!“ Ruszono, a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Spojrzałem w kościół pusty, i rękę kapłańską
Widziałem, podnoszącą Ciało i Krew Pańską,
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą i wielką, lecz równie niewinną.

*) Kibitka — powozik rosyjski.

W 75-cio letnią rocznicę zgonu Adama Mickiewicza.

W dniu 26 bm. upływa 75 lat od śmierci króla poetów polskich, nieśmiertelnego twórcy „Pana Tadeusza“ — Adama Mickiewicza. — Umarł ten największy syn Ojczyzny zdala od Polski, którą ukochał sercem całem, dla której szczęścia umiał wyzuć się z postaci Gustawa, a zrodzić się na nowo, już jako Konrad — tytan — męczennik miłości — ofiara radosna i działająca. — Mickiewicz bowiem, to altruista w całem tego słowa znaczeniu. On uważał, że szczęście jednostki ściśle złączone jest z szczęściem Ojczyzny. Życie jego całe było urną ofiarną na ołtarzu tej Ojczyzny, było jednym ogromnym łańcuchem, złożonym z pracy poświęceń i bólu patrjotycznego nad jęczącą w kajdanach Polską — Matką, a ogniwa tego łańcucha spoiły się ze sobą w ogniu miłości.

Ta bezgraniczna miłość Mickiewicza unosiła jego duszę stęsknioną z bruku paryskiego do kraju lat dziecięcych, w strony ojczyste, „do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych“. Ta miłość sprawiła, że Mickiewicz jako starzec srebrnowłosy rwał się z sercem i duszą młodzieńca do Turcji, gdzie miano utworzyć legjon polski. Tam chciał osobiście oddać się w służbę Ojczyzny, by przyczynić się do odzyskania jej wolności jeszcze w ostatnich chwilach swego pracowitego żywota. To też kiedy wolno mu było wyjechać z Paryża, z radosnem sercem opuszczał Francję dla spełnienia swego obowiązku emigranta — służby w szeregach legjonów. Sam poeta powiedział jeszcze w dniu swojej śmierci do pułkownika Kuczyńskiego: „Ja w tem przekonaniu (obowiązku) opuszczałem Francję, powiedziałem sobie: Gdybym wiedział nawet, że w Turcji gdzieś mam umrzeć na cholerę, jadę jednak, bo tam jest dziś moja powinność, wolę bowiem być pisarzem w jakim pułku kozaków polskich, niż kanclerzem instytutu francuskiego“.

W dniu 22 września 1855 r. stanął wreszcie nasz poeta u upragnionego celu, ostatnich swoich marzeń — w Konstantynopolu. Zaraz po przybyciu do stolicy Turcji udał się do namiotów legjonistów. Nie mógł jednak tutaj długo pozostać, gdyż nie pozwalał mu na to zły stan zdrowia, który pogorszył się jeszcze wskutek chłodnych nocy październikowych i niewygód w namiocie. 18 października wrócił więc Mickiewicz do miasta. Ale i tu był cały zajęty myślą o legjonach, a kiedy na chwilę oderwał się od tej myśli, pisał sceny IV aktu dramatu „Jasiński“. W ciągu tego czasu Mickiewicz widocznie nie przyczuwał, że choroba jego zakończy się śmiercią. Można nawet wnioskować, że żywił nadzieję wyzdrowienia, gdyż miał zamiar podjąć jeszcze podróż do krajów słowiańskich nad Dunajem.

Lecz niestety już dzień 26-ty listopada miał być dniem ostatnim jego ziemskiej pielgrzymki. Mickiewicz w dniu tym nie mógł wstać z łoża, gdyż czuł się bardzo osłabionym, nie chciał jednak, by posłano po lekarza. Przed południem odwiedził poetę pułkownik Kuczyński, z którym mówił dużo o emigrantach i o legjonach. Powiedział mu również, że zaczął uczyć się jeszcze języka tureckiego. Około godz. 12-tej w południe wróciła słabość i mdłości, które Mickiewicza na kilka chwil przedtem były opuściły. O godz. 4-ej Mickiewicz odzyskał apetyt i chciał nawet, by mu podano obiad. Gasnący płomień życia zajaśniał jeszcze na chwilę, by zaraz znów upaść, stłumiony zupełnie kurczem żołądkowym. Sztuka lekarska nie mogła już rozdmuchać ostatniej iskierki życia. Mickiewicz sam czuł, że wybija ostatnia godzina, że śmierć się zbliża. Kazał więc posłać po ks. Ławrynowicza i chciał Służalskiemu, w którego towarzystwie przybył do Konstantynopola, dyktować ostatnią swoją wolę, ale już nie mógł — siły go zupełnie opuściły, głos odmówił posłuszeństwa. Gdy po kilku minutach przyszedł ksiądz, poeta już nie mógł mówić. Grobowym prawie głosem wyszeptał jeszcze do Służalskiego ostatnie polecenie dla swych dzieci w słowach: „Powiedz im niech się kochają — zawsze“. Jeszcze ostatnie namaszczenie, jeszcze kilka chwil okropnych boleści — i już uleciało to życie z ziemskiej łez doliny. O godz. 8[40] wieczorem oddał Mickiewicz swą wielką, jak kryształ czystą duszę w ręce Boga, stanął przed tronem Tego, Którego za życia czcił i kochał.

30 grudnia wywiózł okręt śmiertelne szczątki Mickiewicza do Marsylji, gdzie złożono je w podziemiach kościoła św. Marji Magdaleny zaraz następnego dnia po przybyciu okrętu, tj. 9 stycznia 1856 r. Dnia 21 stycznia po odprawieniu modłów i nabożeństw żałobnych, złożono zwłoki wielkiego poety i patrjoty na cmentarzu w Montmorency obok zwłok jego żony, (która umarła 5 marca 1855 r.)

4 lipca 1890 r. za inicjatywą młodzieży krakowskiej sprowadzono te drogie narodowi polskiemu szczątki do Krakowa i pochowano w oddzielnej krypcie na Wawelu.

Naród polski, oddając cześć królewską popiołom Mickiewicza, chciał okazać, jak drogą mu jest pamięć poety — wieszcza kapłana, który stał „na straży narodowych pamiątek, kościoła z archanielskiemi skrzydłami i głosem, który był jego duchowym wodzem wśród ciemnej nocy niewoli.

Łucja Czarkowska.

Gdzie kto będzie po śmierci, za życia odgadnie:
Gdzie chylił się za życia, tam po śmierci wpadnie.

Mickiewicz.

Rozmaitości.

Największa książka.

W Londynie sprzedano niedawno na licytacji książek największą na świecie książkę. Jest nią olbrzymi egzemplarz Koranu mający 1 metr 20 centymetrów wysokości, 76 centymetrów szerokości i 30 centymetrów grubości. Księga, oprawna w okładkę drewnianą, obciągnięta brokatem złotym, jest tak ciężka, że potrzeba dwóch ludzi aby ją podźwignąć. Obok tego olbrzyma złożono dla porównania najmniejszy egzemplarz Koranu, mierzący zaledwie cztery centymetry wysokości i tyleż szerokości. Rzadkość tą sprzedano stosunkowo tanio.

Szympans przy dziurce od klucza.

Szympans należy do tego rodzaju małp, które są najbardziej podobne do człowieka. Zwłaszcza młode szympansy są zwierzętami nadzwyczaj towarzyskimi, zawierają z ludźmi serdeczną przyjaźń i okazują wielki smutek, jeśli rozstać się muszą z przyjaciółmi.

Zabawny przykład tego pokrewieństwa z ludźmi, przytacza prezes angielskiego towarzystwa naukowego, profesor Charles Sherington.

Codziennie odwiedzałem — opowiadał on — szympansy w swojem laboratorjum i znajdowałem się z nimi na poufałej stopie. Pewnego dnia przyszła mi nagle do głowy myśl, zaobserwować co te małpy po mojem wyjściu robią. Po zamknięciu drzwi odwróciłem się natychmiast i zajrzałem przez dziurkę od klucza i ujrzałem w niej oko małpy. Uczyniła ono to samo, co i ja, tylko wcześniej odemnie. I ona postanowiła widocznie dowiedzieć się, co ja robię po wyjściu-

W NIEWOLI TATARSKIEJ

Powieść z XVI wieku 8
osnuta na tle historycznem.

(Ciąg dalszy)

— Oj dzielny to musi być ów Mengli-Girej, bo się naszym nieraz dał we znaki — rzekł pan Gozdawa.

— Tatarzy go czczą, jakby jakiego półboga, ale bo też on wiele dokonał w swem życiu, i teraz jeszcze, choć podeszły w wieku, nie siedzi bezczynnie. Sam sułtan turecki w Carogrodzie bardzo go szanuje.

— A sułtana waćpan nie widziałeś też przypadkiem? — pytał Gozdawa.

— Na szczęście moje do tego nie przyszło, choć już blisko było. Tatarowie bowiem mają zwyczaj, wybrawszy co najdorodniejsze z pacholąt chrześcijańskich, wyprawiać takowe jak bydło na targ, do Carogrodu, albo posyłać w podarku możnym dostojnikom tureckim, którzy ich poturczywszy, do służby swej używają, albo do wojska przysposabiają. Nie jeden doszedł do wysokich zaszczytów i bogactw, zapomniawszy ojczyzny i Boga, a setki ich co rok idą do szkół tureckich, gdzie ich do wojska sposobią. I nas pewno byłby Edyga bey wyprawił do Turcji, ale żeśmy strasznie byli wynędzniali, chciał nas trochę odżywić i czas jakiś na Krymie zatrzymał.

VII.

Szlachta tatarska. — Mały Tatarzyn i psoty jego. — Prześladowonie. — Mały męczennik.

— Pan nasz, Edyga-bey, należał do szlachty!

— Alboż to i te pohańce są szlachcicami! Tfu, co waćpan gadasz? — zawołał z oburzeniem pan Gozdawa — a skądże to oni nabyli to szlachectwo? Czy z tego, kto więcej bydła ukradnie, albo ludzi niewinnych namorduje?

— A jednak — ozwał się młodzieniec — i oni mają swoją szlachtę, potomków starych rodzin, która jeszcze z Dżyngis-hanem z Azji przywędrowała; zowią ich „Mirzami“ (Mirza oznacza właściwie tyle co syn Emira. W obecnych stosunkach odpowiada temu tytuł turecki „Effende“). Takich rodzin jest już tylko pięć, ale bardzo rozgałęzione, wielu mają członków. Z rodzin Mirzów nieraz hanowie panujący z rodu Girejów, wybierają sobie żony, czyli raczej niewolnice. Są znów cztery rodziny starożytne „Ulemów“, to jest szlachty duchownej, a z tej pochodzą kapłani i uczeni, strzegący miejsc świętych i klasztorów, do których lud tatarski pielgrzymki odbywa.

— Co waść prawisz? U Tatarów święte miejsca i klasztory! Słychać i u nas wprawdzie o pogańskich świętych, ale to tylko o tureckich i ci pono nieszczególnie wyglądają, jak mówi nasze przysłowie: „Goły, jak święty turecki„.

— Pewno, że to nie są Święci prawdziwi, jak u nas, ale Tatarzy im się kłaniają i do nich się modlą, a nawet obfite składają ofiary w świątyniach, czyli meczetach. Zaś ich zakonnicy, czyli derwisze, umartwiają się srodze, palą się ogniem i krają ciało brzytwami. Na odzienie, co prawda, niedużo wydają, a mydła i szczotki, to już nie znają z pewnością; dość na nich spojrzeć, żeby temu uwierzyć. O jedzenie żebrzą, a resztki ubogim oddają. Oprócz rodzin tych dawnych Mirzów i Ulemów, jest jeszcze inny rodzaj szlachty, który się tego stanowiska dorobił, sprawując rozmaite urzędy; tych mniej szanują w Krymie i zowią ich „Kapikulisami“. Ma się rozumieć, żem się o tem wszystkiem później dopiero dowiedział.

Otóż Edyga-bey był z Kapikulisów, miał dwór obszerny, nawet ze szklanemi gdzieniegdzie szybami, które Tatarzy możniejsi od kupców weneckich nabywali; posiadał dużo gruntów i te mu niewolnicy uprawiali. Żon miał pewnie z piętnaście, sporo córek i kilkunastu synów, małych chłopaków, którzy się najbardziej wszystkim we znaki dawali, a szczególnie jeden, wielki ulubieniec ojca, Adżi, silny i dziki, jak drapieżne zwierzę. Wymyślał różne złośliwe psoty, z których jednę najlepiej pamiętam. My, jeńcy, sypialiśmy w wielkiej szopie, licho z gałęzi i trzcin skleconej, bo w tatarskich ziemiach drzewa mało, gdzie więc nie budują domów z kamienia, to żyją w namiotach z pilśni, czyli w szatrach nędznych.

Otóż jednej nocy, kiedyśmy obaj z bratem ułożyli się na sianie w kąciku szopy i smacznie usnęli, napracowawszy się przez dzień cały, a potem napłakawszy się jak zwykle, przy wieczornej modlitwie, czuję, że mię coś dusi i oddech tłumi, gorąco straszliwe, szum jakiś... wreszcie zrywam się, a tu nad nami dach płonie, dym bucha kłębami i oczy wygryza, że widzieć nic prawie nie można. Krzyknąłem gwałtu, a tu zrywają się i inni; popłoch, krzyk i ledwieśmy żywi uszli, a niejeden poparzony, z opalonemi włosy. Cóż się pokazało? To sprytny Adżi z kilku braćmi ogień podłożyli na czterech rogach dachu, i chcieli nas żywcem upiec. Jakże się ojciec śmiał, podparłszy się grubemi pięściami pod boki, mówiąc, że z Adżiego będzie kiedyś dzielny seraskier, czyli wódz plemienia tatarskiego.

Kiedyś znów mądry Tatarzynek wrzucił psa swego do kotła z mlekiem owczem, które dla nas do jedzenia przygotowane było. I tak nie było prawie dnia, żeby czego nie spłatał na krzywdę ludzką. Brata mego zawsze lubił targać za długie jasne włosy; ale kiedy dnia pewnego całą garść mu ich wyrwał, a biedny Stasiek aż pobladł z bólu, ja, choć mniejszy od Tatarzyna, jakem go schwycił za gardło, to padł na ziemię i wyrwać się nie mógł. Nie wiem, coby się dalej stało, lecz nadbiegł nasz nadzorca, ów stary, o którym mówiłem, i mnie odrzucił, a Tatarzynowi, za ramię ująwszy, tak coś nagadał po tatarsku, czego jeszcze wtedy dobrze nie rozumiałem, że uciekł i długi czas do nas się nie zbliżał, tylko z daleka, nienawistnem z podełba rzucał spojrzeniem...

Kiedyś pamiętam, było to pod jesień i zbliżało się jakieś wielkie święto tatarskie, Edyga-bey z synami wybierał się do meczetu w sąsiednim grodzie; kobiety tylko zostawały w domu, bo im do meczetu wchodzić niewolno, ani się modlić, ponieważ, według wiary Mahometan, duszy nie mają. Pewnego rana Kubalim, nasz nadzorca, kazał nam się ubrać w nowe opończe z białego sukna, w obuwie ze skóry cielęcej i na głowy włożyć barankowe czapeczki z okrągłem denkiem, jakie noszą Tatarzy. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć, ale ucieszyliśmy się, osobliwie Stasiek, bo dotąd obdarto i boso musieliśmy chodzić, a nogi mieliśmy, pokaleczone i niezahartowane jeszcze wcale. Kiedy jednak Kubalim kazał nam iść do pana, spytałem go, coby to znaczyć miało. Odrzekł, że wolą Edygi-beya było, abyśmy razem z nim wybrali się do meczetu i tam uczyli się mahometańskich modlitw i obrzędów. Spojrzałem na Staśka, który nic nie rzekł, ale zrozumieliśmy się i bez tego.

— Powiedzcie — odezwałem się do Kubalima — że do meczetu pójść nie możemy, bośmy chrześcijanie i nigdy nimi być nie przestaniemy. (C. d. n.)

Gdy pełnisz cnotę, cierpisz trudy i kłopoty,
Jeszcześ nie jest cnotliwym, tylko szukasz cnoty.
Mickiewicz.

Meteoryczne katastrofy na księżycu.

Aż do ostatnich czasów nauka nie mogła dać zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jaka jest przyczyna powstania owych kraterów osobliwego kształtu, które w tak wielkiej ilości zaobserwować można na powierzchni księżyca. Wszystkie dotychczasowe teorje opierały się na zbyt kruchych podstawach, niektóre zaś wprost pozbawione były wartości naukowej i były tylko wyrazem fantastycznych marzeń w rodzaju Juljusza Verne.

Obecnie ostatni zeszyt czasopisma astronomicznego niemieckiego „Das Weltall" zamieszcza artykuł, zawierający streszczenie teorji dra Boera odnośnie do powstania kraterów na księżycu. Według tej teorji otwory kraterów na powierzchni księżyca utworzyły się z powodu naporu olbrzymich meteorów zderzających się z kulą księżycową.

Doktór Boer wykazuje, że dotychczasowa najpopularniejsza hipoteza o powstawaniu kraterów przez rozszczepianie się skorupy księżyca jest z gruntu fałszywą. Teorję swoją opiera na porównaniu symetrycznych geometrycznie kształtów kraterów księżycowych z kształtami owych lejów ziemnych, które w czasie wojny tworzyły się z powodu uderzenia pocisku.

Pędzące przez przestrzenie międzygwiezdne meteoryty mają zawrotną szybkość sześćdziesięciu do ośmdziesięciu kilometrów na sekundę, więc gdy zderzają się z jakiemś ciałem niebieskiem, siła uderzenia tego musi być olbrzymia.

W ten sposób wyjaśnionem by zostało powstawanie kraterów na księżycu. Nie wiadomo czy sfery naukowo-astronomiczne przyjmą teorję dra Boera i czy nie wysuną przeciwko niej druzgocących zarzutów, tak jak się to dotychczas działo ze wszystkiemi teorjami, odnośnie do tego problemu.

Policzek we właściwej chwili wymierzony.

W pewnem wielkiem handlowem mieście mieszkał bogaty i szanowany kupiec. Spotykał on często młodego dobrze ubranego człowieka, który mu się zawsze grzecznie kłaniał. Kupiec ów nie znał go wcale, odpowiadał jednak chętnie na ten ukłon. Pewnego dnia zagadnął owego młodzieńca, przypuszczał bowiem, że ten bierze go za kogoś innego. Nie, odpowiedział tamten, znam pana już od dawna i chciałbym panu dziś podziękować za policzek, który mi pan przed laty wymierzył. Pewnego dnia szedłem do szkoły. Miałem wówczas dziesięć lat. Gdy przechodziłem przez rynek podziwiałem piękne jabłka w koszach. Sprzedająca rozmawiając z sąsiadką stała zwrócona od nich plecami. Przyszła mi wtedy pokusa porwać jedno jabłko rozumowałem bowiem, że kobieta ma ich jeszcze ogromną ilość, a nikt mnie nie obserwuje. Już wyciągałem rękę po jabłko, gdy wtem otrzymałem potężny policzek. „Chłopcze — rzekł mi równocześnie człowiek, który mi go wymierzył, co głosi siódme przykazanie? Niech ci ten policzek zostanie na zawsze jako ostrzeżenie.

Z wstydu i żalu śmiałem zaledwie oczy podnieść, ale nie mogłem zapomnieć twarzy pana, gdyż to pan był tym człowiekiem, który mi tej dobrej nauczki tak namacalnie udzielił. Kiedy w szkole podczas lekcji katechizmu odpowiadałem na siódme przykazanie, wspominałem z bijącem sercem na ów ranek i ile razy później, jako uczeń miałem, pokusę aby wyciągnąć rękę po cudzą własność lub, aby innych oszukać, miałem wrażenie, że na nowo odczuwam pański policzek i że słyszę jego ostrzeżenie. „Pamiętaj o siódmem przykazaniu". I tak Bogu dzięki zostałem uczciwym człowiekiem. Jeszcze raz serdecznie panu dziękuję za wymierzenie w tak właściwej chwili policzka.

ŻARTY.

Gospodarzu, co się wam należy za szklankę mleka?
— Pan artysta?
Malarz, jak widzicie.
— W takim razie nie mówmy o tej bagateli.
Pan mi za to namaluje portret mojej żony i kwita.

— Ten list jest za ciężki, musicie przykleić jeszcze jeden znaczek.
— To wtedy będzie jeszcze cięższy.

Nauczyciel: Wymień mi trzy zwierzęta drapieżne.
Uczeń: E... e... dwa lwy i tygrys, proszę pana nauczyciela.

Zadanie konikowe

nadesłał Józef Zielonka ze Zwiniarza.

ca	je	szczę	dźwig	ko	po	wić	przy
u	go	cham	go	śli	nia	ja	ko
szłe	ły	nąć	wicz	no	dzki	cis	chce
chce	wić	wo	dam	oś	kie	le	mio
na	przy	za	wiat	gro	na	nim	ną
dzi	na	a	w	mic	po	ra	wszy
i	ród	do	świat	prze	ją	łem	ca
ło	za	szłe	ob	tu	ły	stkie	łem

Powyższe sylaby zestawić tak, aby utworzyły wiersz jednego sławnego poety polskiego, jego imię, nazwisko i miejsce urodzenia.

Zagadka

ułożył Leon Bartoszewicz ze Świecia.

Ile jest tu liter?
E, e, j, i, t, l, w, r, y, d.

Rozwiązanie zagadki z Nr. 40.

1. Marsylja
2. Inowrocław
3. Kruszwica
4. Onega
5. Łomnica
6. Alpy
7. Jang-tse-kjang
8. Kreta
9. Odra
10. Pietruszka
11. Etna
12. Rzym
13. Neapol
14. Ichtjologja
15. Kair
16. Tundry
17. Oranje
18. Regle
19. Urban
20 ń
21. Nowotarska
22. Ateny
23. Ryksza
24. Zebra
25. y
26 Ciżmy
27. Egipt

Mikołaj Kopernik Toruń-Narzyce.

nadesłali: „Czarna perełka", „Lampart", „Murzynek", „Podbipięta", „Zawisza Czarny" wszyscy z Nowegomiasta.

Rozwiązanie łamigłówki geograficznej z Nr. 41.

1. Zanzybar
2 York
3. Gdańsk
4. Medyna
5. Urugwaj
6. Narew
7. Tokio
8. Kamerun
9. Ryga
10. Austrja
11 Śląsk
12 Ioahan
13 Nil
14 Szwecja
15. Krym
16 Indje

Zygmunt Krasiński.

nadesłali: „Lampart", „Murzynek", „Podbipięta", „Zawisza Czarny" wszyscy z Nowegomiasta.